

DAN BROWN POCZĄTEK

Z języka angielskiego przełożył
Paweł Cichawa



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
ORIGIN

Copyright © 2017 by Dan Brown
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Agnieszka Radtke
Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

Ilustracje: str. 30, 57, 83, 212, 354 udostępnił Fernando Estela, na podstawie prac Joselarukki, licencja Creative Commons 3.0; str. 40 udostępnił Shutterstock; str. 53 udostępniła Blythe Brown; str. 87, 442 udostępnił Dan Brown; str. 151 udostępnił Shutterstock; str. 307 Darwin Bedford; str. 392 udostępnił Dan Brown; str. 392 udostępnił Dan Brown; str. 452 na podstawie ilustracji Davida Croya; str. 501 Ponds Science Institute; str. 509 Mapping Specialists, Ltd.

ISBN: 978-83-8110-143-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Skład i łamanie: Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2017. (N1017)

Pamięci mojej matki

*Musimy zrezygnować z planów na życie,
żeby przeżyć to, co naprawdę nas czeka.*
Joseph Campbell

Wszystkie wspomniane w tej powieści dzieła sztuki, budynki,
miejsca oraz wszystkie przytaczane w niej prace i badania
naukowe są autentyczne.

Prolog

Stary wagonik kolei zębatej z trudem piął się pod górę. Edmond Kirsch błędził wzrokiem wzdłuż poszarpanej linii szczytu. Zbudowany na zboczu potężny kamienny klasztor zdawał się wisieć w powietrzu jakby cudem zespolony z pionowymi skałami urwiska.

To katalońskie sanktuarium przez ponad czterysta lat opierało się niepowstrzymanej sile grawitacji, mimo upływu czasu niezmiennie wypełniając misję, dla której je zbudowano: izolować mieszkańców od współczesnego świata.

„Jak na ironię, to oni pierwsi poznają prawdę” – pomyślał Kirsch, zastanawiając się, jak zareagują jego rozmówcy. Historia uczy, że najniebezpieczniejsi są właśnie kapłani, zwłaszcza gdy ktoś zagraża ich bóstwu. „A ja przecież zamierzam wetknąć rozżarzoną włócznię w gniazdo szerszeni”.

Gdy pociąg dotarł na szczyt, Kirsch dostrzegł samotną postać oczekującą go na peronie. Wychudzony mężczyzna o pokrytej zmarszczkami twarzy był ubrany w prostą sutannę i biskupią piuskę. Kirsch rozpoznał kościstą twarz, którą widywał wcześniej tylko na zdjęciach, i poczuł przyływ adrenaliny.

„Valdespino wita mnie osobiście!”

Biskup Antonio Valdespino należał do najbardziej wpływowych ludzi w Hiszpanii, nie tylko jako przyjaciel i zaufany doradca samego króla, lecz także jako jeden z najzagorzalszych zwolenników konserwatywnych wartości katolickich i tradycyjnych standardów politycznych Hiszpanii.

– Pan Edmond Kirsch, prawda? – zapytał, gdy tylko gość wysiadł z wagonu.

– Do tego zarzutu się przyznaję – odparł Kirsch, z uśmiechem ściskając dłoń swojego gospodarza. – Dziękuję, że zgodził się książdz zorganizować to spotkanie.

– To ja dziękuję, że pan o nie poprosił. – Głos biskupa brzmiał silniej, niż Kirsch oczekiwał. Był dźwięczny i przenikliwy jak bicie dzwonu. – Nieczęsto naukowcy proszą nas o konsultację, zwłaszcza tacy o pańskiej pozycji. Tędy, proszę.

Biskup ruszył wzdłuż peronu i jego sutanna zatrzepotała na zimnym górskim wietrze.

– Muszę wyznać, że wygląda pan inaczej, niż sobie wyobrażałem – powiedział Valdespino. – Spodziewałem się naukowca, a pan przypomina raczej... – zawahał się, z lekką pogardą zerkając na elegancki garnitur K50 od Kitona i brązowe buty marki Barker – modnisia. Tak to się chyba nazywa?

Kirsch uśmiechnął się uprzejmie. „Określenie «modniś» wyszło z użycia kilkadziesiąt lat temu”.

– Choć zapoznałem się z listą pańskich dokonań, to nadal nie jestem pewien, czym dokładnie się pan zajmuje – powiedział biskup.

– Specjalizuję się w teorii gier i modelowaniu komputerowym.

– To znaczy, że pan tworzy te gry dla dzieci?

Kirsch wyczuł, że to udawana ignorancja, pozowanie na człowieka starej daty. Wiedział przecież doskonale, że Valdespino jest wyjątkowo dobrze poinformowany w zakresie najnowszych technologii i często ostrzega przed niebezpieczeństwami, jakie niosą.

– Nie, księżo biskupie, teoria gier jest działem matematyki badającym wzorce zachowania oraz przewidującym przyszłość na podstawie analizy procesów i zdarzeń.

– Ach, tak. Chyba nawet czytałem, że kilka lat temu przewidział pan kryzys walutowy w Europie. Nikt nie chciał słuchać, a pan napisał program komputerowy, który wskrzesił z martwych Unię Europejską. Czy to nie wtedy oznajmił pan, że dokonał cudu, bę-

dąc w takim samym wieku, w jakim Chrystus zmartwychwstał, trzydziestu trzech lat? To był słynny cytat.

Kirsch poczuł zażenowanie.

– Faktycznie, to nie najlepsze porównanie. Byłem wtedy młody.

– Młody? – Biskup zachichotał. – Ile pan ma teraz lat? Czterdzieści?

– Właśnie mi stuknęło.

Duchowny się uśmiechnął, a jego sutanna znów zafurkotała na silnym wietrze.

– No cóż, ziemię mieli przejąć potulni, a trafiła w ręce młodych, uzdolnionych technicznie, którzy ciągle się wpatrują w ekrany monitorów, zamiast wejrzeć we własną duszę. Nigdy nie przypuszczałem, że zaproszę na spotkanie człowieka, który walczy z nami tak zaciekłe. Wie pan, że nazywają pana prorokiem?

– Niezbyt dobrym w tym konkretnym przypadku – odparł Kirsch. – Kiedy wysyłałem prośbę o prywatne spotkanie, szanse na to, że ksiądz biskup zgodzi się ją przyjąć, obliczałem na dwadzieścia procent.

– Przekonałem moich kolegów, mówiąc im, że pobożny zawsze skorzysta na wysłuchaniu niewierzącego. Głos diabła pozwala nam docenić słowo boże. – Uśmiechnął się. – Oczywiście żartuję. Proszę mi wybaczyć moje starzejące się poczucie humoru. Od czasu do czasu wyczucie mnie zawodzi.

Po chwili skinął głową.

– Pozostali są już na miejscu. Tędy, proszę.

Kirsch spojrzał we wskazanym kierunku. Olbrzymia cytadela z szarego kamienia przycupnęła na samej krawędzi ściany opadającej setki metrów aż do gęstego dywanu z koron drzew u podnóża góry. Nieprzerażony wysokością Kirsch oderwał wzrok od zielonej czeluści i ruszył za biskupem po nierównej ścieżce wzdłuż urwiska, skupiając myśli na czekającym go spotkaniu.

Kirsch szedł na rozmowę z trzema prominentnymi przywódcami duchowymi, którzy uczestniczyli w dopiero co zakończonym kongresie religijnym.

„Parlament Religii Świata”.

Od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku setki kapłanów prawie trzydziestu religii wyznawanych na całym świecie zbierają się co kilka lat w innym miejscu, żeby przez tydzień dyskutować o dialogu międzyreligijnym. W Parlamencie zasiadają najbardziej wpływowi duchowni chrześcijańscy, rabini i mułlowie obok hinduskich pujari, buddyjskich bhikku, sikhów, dżinistów oraz przedstawiciele wielu innych wyznań.

W specjalnej proklamacji Parlament Religii Świata uznał, że będzie „rozwijać harmonię między religiami, budować mosty między różnymi rodzajami duchowości i odnajdować wspólne płaszczyzny dla wszystkich wyznań”.

„Szlachetny cel” – pomyślał Kirsch, choć widział w tych działaniach wyłącznie puste gesty, bezsensowne poszukiwania przypadkowych zbieżności między kompilacjami starożytnych opowieści, bajek i mitów.

Idąc za biskupem Valdespino po górskiej ścieżce, z sardoniczną myślą ponownie spojrzął w dół urwiska. „Mojżesz wspiął się na górę, żeby przyjąć słowo boże. Ja się tu wdrapuję, żeby postąpić odwrotnie”.

Wiele razy Kirsch sobie powtarzał, że musi wjechać na ten szczyt ze względów etycznych, dobrze też jednak wiedział, że część jego motywacji stanowiła zwyczajna pycha: chciał doświadczyć, jak to będzie usiąść naprzeciw trzech kapłanów różnych religii i przepowiedzieć im rychły upadek.

„Wasz czas na definiowanie naszej prawdy minął”.

– Przejrzałem pański życiorys – obcesowo oznajmił biskup, zerkając na Kirscha. – Jest pan produktem Uniwersytetu Harvarda, prawda?

– Tam kończyłem studia licencjackie.

– No cóż, ponoć ostatnio po raz pierwszy w historii Harvardu wśród nowych studentów jest więcej ateistów i agnostyków niż tych, którzy określają się jako osoby religijne. To znamienne statystyki, panie Kirsch.

„Co mam ci powiedzieć? Że studenci są coraz mądrzejsi?” – chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

Wiatr się nasilił, gdy dotarli do wiekowego kamiennego gmachu. W mrocznej sieni powietrze było ciężkie od intensywnego zapachu kadzidła. Biskup i jego gość wkroczyli do labiryntu ciemnych korytarzy. Wzrok Kirscha z trudem się przyzwyczajał do braku światła, skupiając się na sutannie idącego przodem duchownego. Wreszcie dotarli do zaskakująco niskich drewnianych drzwi. Kapłan zapukał, pochylił się i wszedł do pomieszczenia, gestem zapraszając swojego gościa, żeby podążył za nim.

Niepownym krokiem Kirsch przekroczył próg.

Znalazł się w prostokątnej, wysokiej komnacie ze ścianami od góry do dołu zasłoniętymi przez grzbiety starych, oprawnych w skórę tomów. Od ścian niczym żebra odstawały wolno stojące rzędy półek, między którymi porozmieszczano żeliwne grzejniki, które sycząc i pogwizdując, stwarzały upiorne wrażenie, że pomieszczenie żyje. Kirsch spojrział na ozdobne balustrady drewnianych pomostów biegnących wzdłuż górnego piętra regałów i nie miał już żadnych wątpliwości, gdzie jest.

„Słynna biblioteka Montserrat” – pomyślał zdziwiony, że go tu wpuszczono. Krążyły legendy o przechowywanych w tym bibliotecznym sanktuarium unikatach udostępnianych tylko tutejszym mnichom, którzy poświęcili życie Bogu, zamykając się w odosobnieniu na szczycie tej góry.

– Prosił pan o dyskrecję – przypomniał biskup. – Wybrałem nasze najbardziej prywatne miejsce. Niewielu postronnych przekroczyło te progi.

– To wielki przywilej. Dziękuję.

Kirsch podszedł za biskupem do dużego drewnianego stołu, przy którym czekali na nich dwaj starcy. Ten po lewej wyglądał na steranego życiem. Miał zmęczone oczy, zmierzwioną siwą brodę, pognieciony czarny garnitur i kapelusz na głowie.

– Rabin Yehuda Köves, wybitny żydowski filozof – przedstawił go biskup. – Jest autorem wielu publikacji na temat kosmologii kabalistycznej.

Kirsch wyciągnął rękę, uprzejmie witając starego rabina.

– Miło mi pana poznać – powiedział. – Czytałem pańskie książki o kabale, choć nie mogę powiedzieć, że je zrozumiałem.

Köves przyjaźnie skinął głową, przykładając chusteczkę do łzawiących oczu.

– Szacowny allamah Syed al-Fadl – kontynuował prezentację biskup.

Powszechnie szanowany islamski naukowiec szeroko się uśmiechnął. Był niskim, przysadzistym mężczyzną o jowialnej twarzy, która zdawała się nie pasować do jego czarnych, świdrujących oczu. Nosił skromną białą galabiję.

– Ja natomiast, panie Kirsch, czytałem pańskie przepowiednie na temat przyszłości rodzaju ludzkiego, choć nie mogę powiedzieć, że się z nimi zgadzam – oznajmił.

Kirsch się uśmiechnął, po czym uścisnął dłoń al-Fadla.

– To nasz gość, pan Edmond Kirsch – zakończył prezentację biskup, zwracając się do swoich współbraci. – Jak wiecie, jest wysoko cenionym informatykiem i wynalazcą, specjalistą w dziedzinie teorii gier i kimś w rodzaju proroka nowych technologii. Wiedząc, czym się zajmuje i co głosi, byłem zaskoczony, gdy poprosił mnie o spotkanie w tym gronie, dlatego z niecierpliwością czekam, aż wyjaśni, z czym do nas przybywa.

Powiedziawszy to, Valdespino zajął miejsce między swoimi kolegami, założył ręce na piersi i spojrzał wyczekująco na Kirscha. Wszyscy trzej siedzieli teraz przed nim jak sędziowie trybunału, przez co miał wrażenie, że przybył na rozprawę Inkwizycji, a nie pogawędkę uczonych. Dopiero teraz sobie uświadomił, że biskup nawet nie wskazał mu krzesła.

Kirsch czuł się jednak bardziej rozbawiony niż onieśmielony, patrząc na trzech starców przed sobą. „A więc to jest święta trójca, którą tu zebrałem. Trzej mędrcy”.

Żeby okazać swoją przewagę, podszedł do okna i przez chwilę milcząc, oglądał roztaczającą się za nim panoramę. Skąpane w słońcu pastwiska na dnie głębokiej doliny ustępowały miejsca postrzępionym szczytom masywu Collserola. Wiele kilometrów

dalej, gdzieś blisko horyzontu nad Morzem Balearskim, zbierały się chmury burzowe.

„W sam raz” – pomyślał Kirsch, przeczuwając turbulencje, jakie za chwilę wywoła w tej prastarej bibliotece.

– Panowie – zaczął, raptownie odwracając się do nich twarzą. – Jak sądzę, biskup Valdespino przekazał wam moją prośbę o dyskrecję. Zanim jednak przejdę do meritum, chcę jasno stwierdzić, że to, co za chwilę tu przedstawię, musi zostać zachowane w najściślejszej tajemnicy. Innymi słowy, chcę prosić, żebyście złożyli przysięgę milczenia. Czy przysięgacie?

Wszyscy trzej zgodnie skinęli głowami, a Kirsch pomyślał, że prawdopodobnie to zbędna ostrożność. „Będzie im zależało, żeby te informacje zataić, a nie nagłasniać”.

– Poprosiłem o to spotkanie, ponieważ moje badania naukowe doprowadziły do odkrycia, które będzie dla was wielkim zaskoczeniem. Przez wiele lat szukałem odpowiedzi na dwa fundamentalne pytania dotyczące ludzkości. Teraz, gdy ją znalazłem, najpierw przychodzę do was, ponieważ wynik moich badań w szczególny sposób wpłynie na ludzi wierzących, zaburzając porządek ich świata, jeśli mogę się tak wyrazić. Na razie jestem jedynym człowiekiem na ziemi, który o tym wie, i przybywam podzielić się tą wiedzą z wami.

Kirsch sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął umieszczony w etui ozdobionym mozaiką jaskrawych kolorów smartfon z wyświetlaczem ponadstandardowej wielkości, a następnie umieścił go na stole przed siedzącymi duchownymi niczym telewizor. Za chwilę użyje telefonu, żeby połączyć się ze specjalnie zabezpieczonym serwerem, wprowadzi swoje czterdziestoczeroliterowe hasło i wyświetli prezentację.

– Przedstawię wam roboczą wersję prezentacji, którą zamierzam upublicznić mniej więcej za miesiąc. Zanim jednak świat ją obejrzy, chcę poznać opinię trzech wybitnych religijnych myślicieli, żeby się przekonać, jak moje odkrycie wpłynie na tych, których dotyczy przede wszystkim.

Biskup westchnął głośno, sprawiając wrażenie raczej znudzonego niż przejętego.

– Intrygujący wstęp, panie Kirsch. Można by pomyśleć, że po tym, co pan nam za chwilę pokaże, zadrżą w posadach wszystkie religie świata.

Kirsch spojrział na święte teksty od wieków zbierane w tej skarbnicy.

„Wasze religie nie zadrżą od tego w posadach. One wszystkie runą” – pomyślał, taksując wzrokiem siedzących przed nim starców. Nie mogli mieć pojęcia o tym, że swoją prezentację zamierza upublicznic za trzy dni, podczas szokującego, wyreżyserowanego w najmniejszych szczegółach przedstawienia, a wtedy ludzie na całym świecie zrozumieją, że wszystkie religie świata rzeczywiście mają wspólny mianownik.

Wszystkie fundamentalnie się mylą.

Rozdział 1

Profesor Langdon zadzierał głowę, oglądając siedzącego na placu dwunastometrowego psa. Zamiast sierści zwierzę miało gęsty dywan z trawy i pachnących kwiatów.

„Próbuję cię polubić” – pomyślał. „Naprawdę się staram”.

Przez chwilę Langdon medytował nad przerośniętym psem, po czym ruszył do podwieszanej kładki prowadzącej na szeroki taras uformowany ze schodów, których nierówne stopnie miały zaburzać rytm kroków, do jakiego zwiedzający są przyzwyczajeni na co dzień. „Zadanie wykonane” – pomyślał Langdon, gdy po raz drugi się potknął.

U stóp schodów Langdon gwałtownie się zatrzymał, wpatrzony w olbrzymią konstrukcję, która nagle ukazała się jego oczom. „Teraz już nic mnie nie zaskoczy”.

Opierając się na cienkich stalowych nogach, gigantyczna czarna wdowa unosiła swój olbrzymi odwłok dobrych dziesięć metrów nad ziemią. Pod brzuchem pajęczycy wisiał wykonany z metalowej siatki kokon wypełniony marmurowymi kulami.

– Ma na imię Maman – ktoś powiedział.

Langdon opuścił głowę i zobaczył szczupłego, ubranego w brokatowe sztywne męczyznę noszącego niemal komicznie podkręcone wąsy jak Salvador Dali.

– A ja mam na imię Fernando, moim zadaniem jest powitać pana w naszym muzeum. Czy mogę prosić o nazwisko?

– Oczywiście. Robert Langdon.

Wąsacz spojrział na niego uważniej.

– Och, przepraszam, nie poznałem pana.

„Sam siebie nie poznaję” – pomyślał Langdon, nieswojo się czując w muszce, fraku i atłasowej kamizelce. „Wyglądam, jakbym śpiewał w przedwojennym chórze męskim”. Jego smoking liczył prawie trzydzieści lat i pochodził z czasów, gdy Langdon należał do Ivy Club w Uniwersytecie Princeton, ale dzięki ściślemu przestrzeganiu reżimu codziennych wizyt na basenie ubiór nadal dobrze na nim leżał. Pakując się jak zawsze w pośpiechu, Langdon chwycił nie ten wieszak i pokrowiec ze smokingiem został w szafie.

– Na zaproszeniu widniała adnotacja o strojach wieczorowych – powiedział Langdon. – Mam nadzieję, że frak będzie odpowiedni.

– Frak to klasyka. Wygląda pan doskonale – zapewnił go wąż, po czym podszedł bliżej i ostrożnie przyczepił plaketkę z nazwiskiem do klapy marynarki. – Jestem zaszczycony, że mogłem pana poznać – dodał po chwili. – Zapewne odwiedzał pan nas już wcześniej, prawda?

Langdon zerknął między nogami pajęczycy na błyszczący budynek.

– Prawdę mówiąc, nie. Z zażenowaniem muszę przyznać, że nigdy tu nie byłem.

– Niemożliwe! – Mężczyzna udał, że mdleje. – Nie jest pan wielbicielem sztuki współczesnej?

Langdon zawsze lubił wyzwania stawiane przez sztukę współczesną, najbardziej zaś fascynowało go dociekanie, dlaczego dany artefakt zyskiwał sławę arcydzieła – malarstwo gestu Jacksona Pollocka, puszki zupy Campbell Andy’ego Warhola, kolorowe prostokąty Marka Rothki. Mimo to czuł się o wiele swobodniej, rozmawiając o symbolicznych dziełach Hieronymusa Boscha albo fakturze obrazów Francisca Goi.

– Bardziej do mnie przemawia klasyka – odparł Langdon. – O wiele lepiej radzę sobie z da Vincim niż de Kooningiem.

– Ale przecież da Vinci i de Kooning są tacy podobni!

Langdon wyrozumiałe się uśmiechnął.

– Muszę więc jeszcze sporo się nauczyć o de Kooningu.

– W takim razie jest pan w dobrym miejscu. – Mężczyzna wskazał ręką na ogromny budynek. – W tym muzeum znajdzie pan najlepszą na świecie kolekcję sztuki współczesnej. Mam nadzieję, że obejrzy ją pan z przyjemnością.

– Taki mam zamiar – odparł Langdon. – Żałuję tylko, że nie wiem, z jakiej okazji zostałem tu dziś zaproszony.

– Tego nie wie żaden z gości! – Mężczyzna zaśmiał się radośnie. – Program dzisiejszego wieczoru to wielki sekret naszego gospodarza. Nawet pracownicy muzeum nie mają pojęcia, co się będzie działo. Tajemnica to połowa sukcesu każdego przedsięwzięcia! Krążą już najróżniejsze plotki. Przybyło kilkuset gości, wśród nich wiele znanych twarzy, ale żaden z nich nie wie, co go tutaj czeka.

Langdon uśmiechnął się od ucha do ucha. Niewielu ludzi na tym świecie miałoby odwagę wysłać w ostatniej chwili zaproszenie, które sprowadzało się do ośmiu słów: „Sobota wieczorem, przyjdź koniecznie, uwierz mi, że warto”, a już naprawdę garstka zdołałaby w ten sposób przekonać setki sławnych osobistości, żeby rzuciły wszystko i przybyły do Hiszpanii.

Langdon wyszedł spod pajączycy i ruszył w stronę budynku, patrząc na olbrzymi czerwony transparent wydymający się wysoko nad jego głową.

WIECZÓR Z EDMONDEM KIRSCEM

„Pewności siebie to mu nigdy nie brakowało” – zaśmiał się w duchu Langdon.

Trochę ponad dwadzieścia lat wcześniej Eddie Kirsch był jednym z pierwszych studentów Langdona na Uniwersytecie Harvarda: komputerowy maniak z czupryną bujnych włosów zapisał się na kurs dla studentów pierwszego roku zatytułowany *Kody, szyfry i język symboli*. Już wtedy Langdonowi wielce zaimponował intelekt Kirscha i chociaż chłopak ostatecznie zostawił przykurzony świat semiotyki dla świetlanej przyszłości właśnie się otwierają-

cej przed komputerami, to jednak relacja, którą wtedy nawiązali jako profesor i student, okazała się na tyle silna, że mimo upływu czasu pozostali w kontakcie.

„Teraz uczeń wyprzedził nauczyciela” – pomyślał Langdon.
„O kilka lat świetlnych”.

Dziś Edmond Kirsch był indywidualistą znanym w całym świecie: miliarderem, informatycznym futurystą, wynalazcą i przedsiębiorcą. W wieku czterdziestu lat mógł się pochwalić autorstwem wielu nowoczesnych technologii znacznie przyspieszających rozwój tak różnych dziedzin jak robotyka, neurobiologia, sztuczna inteligencja i nanotechnologia. Trafnymi prognozami na temat przełomów w nauce i technice stworzył wokół siebie mistyczną wręcz aurę.

Langdon podejrzewał, że u podstaw tego niesamowitego daru prognozowania leży rozległa wiedza Edmonda o świecie, w którym żyje. Od zawsze był nienasyconym książkożercą czytającym dosłownie wszystko. Langdon nie znał nikogo innego, kto z taką samą pasją pochłaniałby każdy tekst, który wpadł mu w ręce, i dorównywałby Edmondowi zdolnością zapamiętywania treści tego, co przeczytał.

Przed kilkoma laty Kirsch osiadł w Hiszpanii, co tłumaczył swoją wielką słabością do wszechobecnych w tym kraju uroków świata, który dawno przeminął, awangardowej architektury, ekscentrycznych knajpek oraz idealnej pogody.

Co roku, gdy Kirsch przyjeżdżał do Cambridge, żeby wygłosić wykład w Laboratorium Mediów Elektronicznych MIT, Langdon spotykał się z nim na kolacji w najmodniejszych akurat bostońskich lokalach, o których wcześniej nawet nie słyszał. Nigdy nie dyskutowali o technologii, ponieważ Kirsch chciał rozmawiać o humanistyce.

– Gdyby nie nasze spotkania, nie miałbym kontaktu z kulturą – zgrywał się często Edmond. – Wśród moich znajomych tylko ty poślubiłeś sztukę.

Żartobliwa aluzja do stanu cywilnego Langdona brzmiała szcze-

gólnie ironicznie w ustach kawalera, który odrzucał monogamię jako „afrofit wobec ewolucji” i przez lata pokazywał się w towarzystwie kolejnych supermodelek.

Wiedząc, że Kirsch jest wybitnym informatykiem i wynalazcą, ktoś mógłby go sobie wyobrazić jako dziwaka i samotnika, a w najlepszym razie typowego nerda. Tymczasem Kirsch stworzył wizerunek ikony popkultury. Bywał wśród celebrytów, ubierał się zgodnie z najnowszymi trendami, słuchał undergroundowej muzyki. Zgromadził bezcenną wręcz kolekcję impresjonistów i twórców sztuki współczesnej. Często konsultował się z Langdonem, prosząc go o radę w sprawie dzieła, które zamierzał kupić.

„A potem postępował dokładnie odwrotnie” – rozmyślał Langdon.

Ale podczas ubiegłorocznego spotkania Kirsch zaskoczył Langdona, rozmawiając nie o sztuce, lecz o Bogu – dziwny temat jak na zdeklarowanego ateistę. Przy żeberkach crudo w bostońskiej restauracji Tiger Mama Kirsch szczegółowo wypytywał o podstawowe założenia różnych religii, interesując się zwłaszcza głoszonymi przez nie wizjami początku świata.

Langdon krótko scharakteryzował najważniejsze współczesne oraz antyczne wierzenia religijne, szczegółowo przedstawiając byłemu studentowi wspólną dla judaizmu, chrześcijaństwa oraz islamu historię stworzenia świata przez Boga, hinduistyczną opowieść o Brahmie, babilońską o Marduku i inne.

– Ciekaw jestem, dlaczego futurysta tak bardzo się interesuje przeszłością. Czyżby nasz sławny ateista szukał drogi do Boga?

Edmond szczerze się uśmieł.

– Pobożne życzenia! Tylko sprawdzam konkurencję, Robercie, nic więcej.

Po tamtym spotkaniu Kirsch zniknął na prawie rok, po czym ni stąd, ni zowąd trzy dni temu Langdon otrzymał przesyłkę kurierską, a w niej zaproszenie, bilet na samolot, potwierdzenie rezerwacji hotelowej i ręcznie napisaną notkę: „Robercie, bardzo mi zależy, żebyś przyjechał. Bez tego, co usłyszałem od Ciebie pod-

czas naszego ostatniego spotkania, nie mógłbym zorganizować mojego wystąpienia”.

Langdon był zaskoczony. Przecież żaden z tematów tamtej rozmowy nie pasował do pokazu organizowanego przez futurystę w muzeum sztuki współczesnej. W kopercie Langdon znalazł także czarno-biały obrazek przedstawiający dwie zwrócone ku sobie twarze, odręcznie podpisany przez Kirscha krótką rymowanką:

Robercie,
Gdy będziemy się widzieli,
Ujawnię, co zawiera kielich.
Edmond



Langdon się uśmiechnął. Rysunek był sprytną aluzją do przygody ze Świętym Graalem, którą Langdon przeżył przed kilkudziesięciu laty. Przestrzeń między twarzami na rysunku miała właśnie kształt kielicha.

Idąc w stronę muzeum wzdłuż wybetonowanego brzegu krętej rzeki Nervión, kiedyś będącej krwiobiegiem świetnie prosperującego przemysłowego miasta, Langdon się zastanawiał, co jego były student zamierza ogłosić. Wiatr lekko szarpał połami fraka. W powietrzu unosił się delikatny metaliczny zapach. Dopiero za zakrętem Langdon przystanął, żeby rzucić okiem na potężny, błyszczący budynek. Fasady nie sposób było objąć wzrokiem, dziwaczne wydłużone kształty obserwował więc jeden po drugim.

„Nie można powiedzieć, że ten budynek łamie zasady” – pomyślał. „On je całkiem ignoruje. To rzeczywiście idealne miejsce dla Edmonda”.

Muzeum Guggenheima w Bilbao wygląda jak halucynacja komity. Olbrzymie, pofalowane arkusze lśniącego metalu sprawiają wrażenie, jakby ktoś je poustawiał w przypadkowy sposób. Rozciągającą się na ogromnej powierzchni chaotyczną masę kształtów przykrywa ponad trzydzieści tysięcy tytanowych płytek, które mieniają się jak rybnie łuski, przez co cała konstrukcja wygląda jak żywa, jednocześnie sprawiając wrażenie niezemskiej, jakby jakiś kosmiczny lewiatan wypelznął z wody na brzeg, żeby pogrzać się w słońcu.

Gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku budynek został oddany do użytku, „New Yorker” napisał, że jego twórca Frank Gehry zaprojektował „bajkowy statek o falujących kształtach spowitych welonem z tytanu”. Inni recenzenci z zachwytem pisali o najwybitniejszej konstrukcji naszych czasów, błyskotliwym geniuszu i niesłychanym osiągnięciu architektonicznym.

Po otwarciu Muzeum Guggenheima wzniesiono kolejne budynki dekonstruktywistyczne, wśród nich salę koncertową Disneya w Los Angeles, monachijskie centrum wystawowe BMW Welt czy gmach biblioteki na macierzystej uczelni Langdona. Każdy z nich miał nieprzewidywalną konstrukcję, ale zdaniem Langdona żaden nie mógł się równać z muzeum w Bilbao, bo żaden nie wyglądał tak szokująco.

Gdy Langdon podchodził bliżej, pokryta tytanowymi płytkami fasada zmieniała się z każdym krokiem, prezentując się inaczej pod nowym kątem. Dopiero teraz dostrzegł najwspanialszą iluzję architektoniczną tego gmachu: zdawało się, że olbrzymia konstrukcja dosłownie leży na wodzie, unoszona przez „nieskończoność” fal obmywających jej ściany.

Langdon przystanął na chwilę, podziwiając ten widok, po czym ruszył na drugi brzeg po minimalistycznej kładce biegnącej nad szklistą taflą wody. Był mniej więcej w połowie drogi, gdy rozległ się głośny syk. Przystanął przestraszony. Dźwięk dobiegał gdzieś z dołu. Po chwili spod kładki zaczęły się dobywać wirujące kłęby pary. Gęsta zasłona mgły, która powstała wokół niego, powo-

li przepłynęła nad wodę, by tam opaść, zasnuwając podstawę olbrzymiego budynku.

„Rzeźba z mgły” – pomyślał Langdon.

Czytał o tej instalacji i jej autorce, Fujiko Nakaya. Tak zwana rzeźba z mgły jest pomysłem rewolucyjnym: powstaje w powietrzu i po jakimś czasie znika, a ze względu na wiatr oraz zmienne warunki atmosferyczne za każdym razem wygląda inaczej.

Kładka przestała syczeć. Teraz Langdon mógł obserwować, jak białe kłęby powoli opadają na taflę wody, wirując i pełznąc, jakby kierował nimi jakiś rozum. Efekt był zarówno eteryczny, jak i dezorientujący. Z trudem odpierał wrażenie, że muzeum wisi w powietrzu unoszone na nieważkiej chmurze, niczym zagubiony pośród fal statek widmo.

Langdon zdecydowanie wołał klasyczne muzea, jak Luwr czy Prado, ale patrząc, jak mgła powoli przykrywa wodę przed tytanowymi ścianami, doszedł do wniosku, że byłoby trudno o lepsze miejsce na spotkanie z człowiekiem, który tak bardzo kocha sztukę, a dzięki swojej wiedzy i innowacyjności potrafi odgadnąć przyszłość.

Langdon przedarł się przez mgłę i stanął pod wejściem do gmachu. Wyglądało złowieszczo: wielka czarna dziura w ciele olbrzymiego gada. Przeszując próg, miał wrażenie, że wkracza w paszczę smoka.